Rok 1938 14 sierpnia Nr 33

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

W dzień Wniebowzięcia N. M. P.



Każde święto Matki Boskiej kryje w sobie jakiś niezrównany czar, który w sercach naszych wywołuje uczucie radości, wesela, zachwytu, każde bowiem mówi nam o Przeczystej Dziewicy innymi słowy i w innym przedstawia Ją momencie życia na ziemi.

Święto Wniebowzięcia, jako pamiątka Jej śmierci, powinno zatem — zdawałoby się — uzbudzać w nas uczucie żalu, że nas opuściła.

A tymczasem właśnie wszyscy przepełnieni jesteśmy szczęściem Bożej Matki, iż oto doczekała się chwili połączenia się na nowo ze Swym Boskim Synem ukochanym, który teraz dopiero wynagrodzić może całą mękę Jej serca na ziemi i uwieńczyc Ją koroną wieczystej chwały.

Dla Polski pozostanie na zawsze święto Wniebowzięcia Matki Boskiej dniem niezapomnianym. Wszak to z nim łączy się chwila, kiedy z pod murów Warszawy runęły w popłochu do ucieczki bolszewickie hordy. Ona — ta nasza odwieczna Królowa, przyczyniła mocy obrońcom świętego znaku Krzyża Jej Syna i wsparła ich wiarę w zwycięstwo, chociaż krwawą okupione ofiarą.

To też z pewnością macierzyńskim ramieniem ogarnąwszy duchy poległych, poprowadziła je w weselu przed tron Najwyższego i wyprosiła za ich trud śmiertelny nagrodę szczęścia i błogosławieństwa dla umiłowanej przez nich Ojczyzny.

Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny — to dla nas zarazem dzień Cudu Jej macierzyńskiej nad Polską opieki.

Dla dobra gromady

Najmilsze dla człowieka zawsze jest to, co zdobył własnym trudem. Nie znały zapewne tej wielkiej prawdy życiowej dzieci szkolne pewnego miasteczka nad Bugiem, a jednak postąpiły tak, jak gdyby właśnie doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

Oto pragnęły bardzo mieć w swej klasie (3-ciej) własny aparat radiowy, a ponieważ grosza na to nie miały i znikąd spodziewać się go nie mogły, postanowiły zdobyć ów czarodziejski przyrząd własnym wysiłkiem. Założono więc „księgę“ z wypisanym na pierwszej karcie hasłem: „W gromadzie siła!“

Księga ta stała się pewnego rodzaju bankiem dziecięcym, do którego napływały pieniądze z najrozmaitszych źródeł „dochodów“ dziecinnych. I tak szły tam m. in. „kary“; szedł dochód ze sprzedaży wszelakich rupieci, jak szkła, żelaza, szmat, starego obuwia, papieru i t. d.; szły zarobki ze sprzedaży zabawek własnego wyrobu, przedstawień teatralnych, wreszcie wpływały tam i datki dobrowolne samych uczniów i uczenic tej klasy jak i ich przyjaciół dorosłych.

Warto przytoczyć pewne zapiski nieocenionej „Księgi“: Oto jako kara za wylanie atramentu figuruje suma groszy 5; od Halinki w dniu jej imienin, zamiast cukierków dla dzieci — groszy 50; od Jurka jako kara za „rozbijanie się“ — groszy 50; od p. B. za wyłowienie łopaty z rzeki — groszy 20; klasa IV składa klasie III na zakup radia zł. 5, jako dowód wdzięczności dla pana wychowawcy klasy 3-ciej za cudowną wycieczkę do Lwowa; ze sprzedaży poziomek 1 zł. 20 gr. itd., itd. A już najciekawszy chyba zapisek brzmi: ze sprzedaży roztłuczonego szkła zebranego przez dzieci, w ilości 135 kg. po 2 gr. — razem 2 zł. 70 gr.

Tak ciułały dzieci żmudnie grosz do grosza, aż wyrosła z tego suma ogromna... 118 zł.! Niestety, była ona jeszcze za małą na kupienie upragnionego radio-aparatu. Nie zarzekając się dalszego zdobywania na ten cel funduszów, napisały dzieci tymczasem do zarządu Polskiego Radia w Warszawie, a ono chcąc wynagrodzić tak szlachetne wysiłki niezamożnej dziatwy, samo pokryło brakującą kwotę.

Czyż nie piękny to i godny naśladowania przykład dla wszystkich, którym trudno dopiąć pięknego celu z powodu braku środków?

Ileż podobnych szkół uszczęśliwićby mogli ci, co tak bezmyślnie rzucają grosz na różne rzeczy niepotrzebne, a nawet nieraz szkodliwe! Niechby tylko każdy pijak we wsi czy w miasteczku, który nie może się wyrzec gorzałki, zechciał „odjąć sobie od ust“ co miesiąc jedną butelczynę za 50 groszy, — a już powstałaby suma, która do niejednej zabitej deskami od świata wioski polskiej wniosłaby radość, zadowolenie, pożytek, wniosłaby pieśń i muzykę polską ze wszystkich krańców naszego kraju.

A może który czytelnik „Dzwoneczka“ rzuci w swojej wsi podobną myśl dla dobra całej gromady? Czekamy.

Bez czego obejść się nie może okręt

(Dokończenie)

Ponieważ liny na okręcie są sprzętem niesłychanie ważnym i żadna prawie czynność obejść się bez nich nie może, wielce przeto baczyć się musi na ich moc, jakość i wytrzymałość.

A więc przed użyciem poddaje się je różnym próbom: waży się, czy odpowiadają koniecznej wadze, która nie śmie okazać się mniejszą niż wymaga przepis, następnie obcina się z końca liny parę metrów, rozplata na sploty, wybiera się z nich co najmniej 10 i każdy oddzielnie próbuje obciążaniem. W tym celu przywiązuje się go jednym końcem do belki czy haka, do drugiego zaś przymocowuje żelazny talerz, na który szybko rzuca się

coraz większe ciężarki — tak długo, aż splot pęknie. Wagę owego ciężaru notuje się, a wynosić ona musi liczbę przepisaną, i tak np. dla splotu liny manilowej 80 kg., dla innych mniejszą. Kawałki i odcinki splotów używane przy robotach wewnątrz okrętu nazywają się gremplem.

Oprócz lin z włókien roślinnych czyli lin pakułowych, wyrabia się liny z ocynkowanych drutów stalowych, w sposób podobny tamtemu i nawet z „duszą“ smoloną albo przesiąkniętą tłuszczem. Podlegają one także próbom co do swej wytrzymałości.

Na statkach marynarze, używają obu rodzajów lin, ponieważ każda posiada swoje zalety i swoje wady, i nie da się zastąpić przez drugą. Liny stalowe są lżejsze, nie przepalają się od gorąca, zajmują mniej miejsca, w razie pożaru na okręcie nie stanowią materiału palnego. Wymagają za to większej pielęgnacji w przechowywaniu, gdyż mimo ocynkowania rdzewieją, poszczególne ich druciki od zużycia pękają, przez co osłabiają moc liny i kaleczą ręce, wreszcie nie dają się owijać dokoła cienkich przedmiotów i są mało podatne. Tych wad nie posiadają liny pakułowe, ale za to są cięższe, palą się i są mniej wytrzymałe.

Oto ile dało się powiedzieć o tak, zdawałoby się, prostej i pospolitej rzeczy, jak o... sznurach. Przepraszamy, nie o „sznurach“, tylko o linach, boć przecie znajdujemy się na statku, a tam każdy wie (z wyjątkiem „szczurów lądowych“), że na okręcie istnieją tylko liny.

Może tych kilka wiadomości przyda się jakiemu chłopcu czytającemu „Dzwoneczek“, a marzącemu o tym, by zostać polskim marynarzem na „Batorym“ czy „Piłsudskim“, „Kościuszce“ czy „Pułaskim“ lub innym statku floty handlowej i pasażerskiej, albo też na groźnym kontrtorpedowcu marynarki wojennej, „Wichrze“, „Burzy“, „Żbiku“ czy „Rysiu“, które wszystkie razem strzegą nietykalności i swobody Najjaśniejszej naszej Rzeczpospolitej.

SZARADA.

Pierwsze - drugie często we śnie niepokoją,
i dlatego ludzie mocno się ich boją.
Czwarte - trzecie - czwarte śpiew miły każdemu,
choć nie dorównuje wcale słowiczemu.
Czwarte razem z pierwszym — nazwa jest to rzeki,
lecz w kraju, co od nas niezmiernie daleki.
Czwarte zaś i drugie na dzieci spadają,
kiedy już zanadto starszym dokuczają.
Pierwsze - drugie - trzecie i czwarte do tego -
częścią jest ubrania mężczyzny każdego.
Ale nas nie taka w szaradzie obchodzi,
tylko tamta druga, co wśród morza brodzi.
Bywa i wojenna, bywa i handlowa —
Polska też je obie na swą chwałę chowa.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Pełno tu było dołów równych, walcowatego kształtu, co wskazywało, że w nich zimą gospodarze przechowują swoje kartofle. Tu i ówdzie na dnie takiej próżnej beczki ziemnej odezwała się w tej chwili żaba...

Zresztą wszędzie panowała teraz cisza i pustka, a od strony wioski nie dolatywał żaden głos, prócz rzadkiego już szczekania psów, które się znać uspokoiły.

Ludzie musieli spać, bo z czarnej masy chat i budynków gospodarskich nie rzucała się w oczy skautów ani jedna jasna plamka, która by zdradziła światło w czyim okienku. Mimo to chłopcy zachowywali jeszcze większą ostrożność, i pod sady, które tuż przed sobą mieli na tyłach zagród, podkradali się, czołgając po ziemi.

— Tak... tak... nie mylicie, się, to jest chałupa Dawidków — szepnął pan Rymsza nad uchem Zawiszy, z którym stał u stóp dzikiej gruszy, w głębi szerokiego wądołu, skąd czasami w razie potrzeby wykopywano i do wsi wożono piasek.

Tę kryjówkę właśnie obrał sobie teraz dowódca zastępu na chwilowe stanowisko, w towarzystwie leśnika, gdy nie-

opodal na starej wierzbie, rozłożystą a wysoką wiechą panującej nad obszarem, siedział Sokolik. Stróżował stamtąd wygodnie, niby z gniazda i nie potrzebował już wcale krępować się pewnymi brakami w garderobie, które dały mu się trochę we znaki przy wdrapywaniu się na drzewo.

— Ale to nic — myślał sobie — przecież łydka to nie nos, żeby zaraz każdy musiał oglądać i pytać: a kto ci tak skórę podrapał?

Przed chwilą dał cichy znak ze swej strażnicy, że nic podejrzanego nie staje na przeszkodzie do podjęcia planu wkroczenia w obręb zagrody Dawidków.

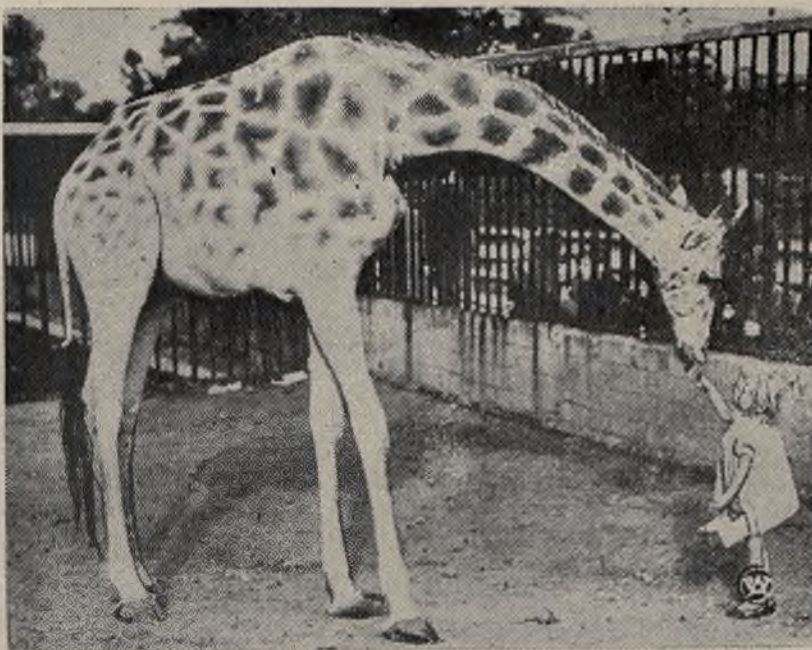
Wtedy Janusz, zostawiwszy resztę towarzyszy po dołach na piasku, wybrał się tymczasem w pojedynkę na podsłuchy, nie tylko bowiem był stale okiem patrolu, jako jego przodownik, ale niekiedy bywał i uchem swego zastępu.

Przed sobą, zaraz od miejsca, gdzie w piasku dołowano ziemniaki, miał sad; za nim dom i obórka z chlewkiem zasłaniały podwórko, które znów płot wysoki odgradzał już od głównej ulicy, ciągnącej się przez środek wsi. Od jabłonki do śliwy, od śliwy do jabłonki posuwał się Janek naprzód coraz dalej, chyłkiem a cichcem, nie budząc nigdzie w pobliżu czujności psa z sąsiedztwa.

Wreszcie zboczył w gęstwę słoneczników, otulił się w ich liście olbrzymie, i skryty w nich od stóp do głowy, czekał przez chwilę z oddechem zapartym; słuchał bacznie, głosy jakieś niewyraźne łowił, ale nic jeszcze nie rozróżniał.

Ruszył tedy dalej, przeciskając się między fasolą tyczkową, już bujnym liściem pnącą się wyżej głowy. Ukryty wśród tych pnączy, nie gorzej niż wprzód w słonecznikach, posuwał się bardzo przezornie wśród grzędy, wąziutkim pasem ciągnącej się z brzegu zagrody Dawidków na granicy sadu sąsiada, aż do samej ulicy.

Sprawa zwiadów była ciężka, bo wiatr musiał poprzeginać tyki, snać licho w ziemi tkwiące, więc chyliły się to w tę, to w ową stronę w nieładzie. Trzeba było zatem co krok torować sobie drogę, chcąc postępować ciągle pod osłoną zwojów fasoli i nie wychylać się (C. d. n.)



W ogrodzie zoologicznym malutka dziewczynka karmi żyrafę, która musi dobrze się schylać, by po jadło dosięgnąć.